Ner 24.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 18 listopada 1843. **Rok czwarty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301., we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 4 listopada 1843.

Stroje damskie. Suknie od wyjścia mają dziś zwykle formę redyngocików: staniki ich z przodu wysokie *à la puritaine,* z tyłu dość nisko spadające, spodnice zaś rzęsisto fałdowane i bardzo długie z nierozciętemi połami, a najczęściej ozdobione z przodu w sposób fartuszka; niekiedy dają się wolanty znacznej wysokości, a czasem zdobią się pasamonami, bo ozdoby mają nader wielki powab dla dam, aby się ich zupełnie zrzec mogły. Przepaski noszą długie, a to z wstążek szkockich w paski lub w palmy.

Jako nowości modne pierwszych tutejszych pracowni wymieniamy następujące stroje: szlafroczek z kaszmiru szkockiego krzyżową robotą, w spodnicy i u stanika z szerokiemi wyłogami i takąż przepaską; służy zwykle za ubior od domu. Penioar w sposobie redyngocika z długim stanikiem, z ramionczkami opadającemi, z marszczonemi pleckami; rękawy półszerokie, spodnica nieco wlekąca się. Od miasta zaś suknia z edenburskiego adamaszku, z pekinu Wiktorii lub z tkaniny wełnianej; plecki zbierane, stanik z przodu fałdowany, rękawy obcisłe, marszczone. Osobliwszą uwagę ściągnął na siebie płaszczyk kaszmirowy półfałdowany, z nader ozdobnemi brzegami i z klamrą bogatą, z szeroką peleryną, i z dostatniemi połami.

Dawniej spodnice półwłosienne na spód brane miały ogromną wziętość, dziś zbytnia odętość jaka zawsze w takim razie być musi, nie jest już więcej w guście i nierównie powszechniejsze są spodnice podobne z krynolizowanej flaneli. Materia ta łączy w sobie przyjemne ciepło z wielką gjętkością i wcale się nie odyma.

Kapelusze tej pory mają skrzydła duże, w dół pochylone a u góry zachodzące nieco na czoło. Axamit i atłas jest zwykłą ich materią. Kolory ich rozmaite, do szczególniejszych należą: kolor dalii, zielony Okonela, wreszcie fioletowy i czarny. Za ozdobę służą marabu, pióra długie, leżąco upięte przez całą długość obwodu, girlandy z kwiatów, wreszcie zasłony i półzasłonki, tudzież ozdoby z czarnych korunek. Wszystko to jak dawniej tak i teraz nieprzystaje być modne.

Całkiem nowem zjawiskiem w strojach damskich jest kaftan, który w tej chwili zajmuje miejsce paletotów damskich. Kaftan, jak wiadomo, jest odznaczająca się suknia u Turków. Tu jest jego ojczyzna. Pod biegłą ręką modystek paryskich otrzymał znaczne zmiany, i im to winien cały wdzięk kroju, który niezawodnie długi czas jeszcze obcy będzie krawcom konstantynopolskim. Dziś tedy kaftan jest elegancką suknią wierzchnią, zgrabnie do stanu skrojoną, wygodną i bardzo się wyszczególniającą. Osobliwie dobrze się wydaje na osobach średniego lub też małego wzrostu; słusznym zaś i figurantkom lepiej będzie przypadać paletot, jakiśmy już dawniej opisali. Model najnowszego kaftana spodziewamy się dać na rycinie w jednym z najbliższych numerów naszego dziennika, tak jak na rycinie przeszłego numeru daliśmy wzór modnego płaszczyka.

Staniki u redyngocikow są jeszcze zawsze wysokie i obcisłe. Jeden z najnowszych wzorów ich, jest tak zwany *à la Valentine.* Robią je z materii krzyżowej i zdobią jedwabnemi galonkami, guziczkami i żołędziami w gorsie i u rękawów, przez całą ich długość.

W sukniach od wielkiego stroju najulubieńsza jest forma grecka. Suknie takie zwykle mają jedną tylko spodnicę otwartą w stylu Aspazii.

Blondyny które nigdy całkowicie nieutracały war-

tość swoją dziś mają najzupełniejszą wziętość. W robocie ich najnowszemi czasy pokazuje się mnóstwo drobnych odmian, a niezawadzi dodać że blondyn w ząbki już teraz ani widać w Paryżu.

Rycina przedstawia: szlafroczek z szyleroskiej merseliny, po wierzchu płaszczyk zściągany, rękawy szerokie i peleryna wycięta, obszyta krepiną, kapelusz jedwabny, korunką i marabu ubrany; druga figura przedstawia: suknię z pekinu; mantyla wełniana, haftowana, axamitem obłożona, kapelusz jedwabny gładki; trzecia figura przedstawia suknię jedwabną.

Stroje męskie. Kierunek jaki bierze dziś moda, zdaje się że wróci nam fraki z więcej wyciętemi połami, lecz wycięcie jest tego rodzaju iż gust dobry nic na tem nie traci. Forma ta uchodzi wyłącznie prawie we frakach od zabaw i w strojach weselnych. Przy tej sposobności powiemy, że strój weselny składa się, przynajmniej jak tu w Paryżu, z czarnego fraka i takichże spodni, kamizelki białej, krawatki czarnej lub białej, ale bez żadnej odmiany.

Twina jest istotnie strojem najwięcej noszonym czy to po wierzchu, czy też bez fraka lub tużurka pod spodem.

Rycina przedstawia: twinę pod którą surdut, na dwa rzędy; druga figura frak do galowego ubrania.

MODNIARKA MAŁEGO MIASTECZKA.

przez

Dominika Magnuszewskiego.

Społeczność nasza jak siatka: skład jej dziwny, gmatwany, krzyżujący się; mnóstwo żyć poszczególnych, to węzły co zespalają tę całość ruchawą; ręka czasu i okoliczności gra na niej rolę tkacza, deseń więc od nich, tło ino wieczne.

W tej siatce żyć, ileżto tak drobnych, biednych a tak ciekawych ustrojem swoim do innych, ileżto czasowych, napływowych nawiązań, które zwolna przerabiaję się, spuszczają jak oczka w pończosze, by dać osnowę innemu życiu, innym węzełkom. Temu przejściu nieraz towarzyszy jakaś straszna, przerażająca scena, ale cicha i nieznana światu, bo jej świadkami gęsto ino cztery gołe ściany, ino krzyk mały, ucięty, prywatny, jestto stąpienie człowieczeństwa, które swą nogą gniecie jakieś życie małe, ukryte, bo idzie w szerszą drogę.

Takim węzełkiem ginącym w nastroju obecnym społeczeństwa, jest życie modniarki małego miasteczka. Tuła się ono jeszcze gdzieniegdzie, czepia przedmieść małej mieściny, ale ubożuchne, potulne, gęsto siedzi z założonemi rękoma, bo rękom zbywa pracy, zbywa dawnych klientów, a ledwie kiedyś niekiedyś jaka dawna wielbicielka tułubka watowanego rzuci mu na chwilę grosz wspomożenia, a raczej grosz konania. Ono! co tak siedziało pokątnie w swoich drewnianych domkach, tuląc nieraz biedną rodzinę z kilkorgiem dzieci, nie jedną wdowę wypartą z posesorskiego gospodarstwa, nie jedną ex żonę, nie jednego ex ekonoma, najczęściej ex garderobianę, która coś więcej jak zasługi wyniosła na rękach z domu swego państwa, znika na zawsze z widowni postępowego ruchu miast. Pierwszy czypeczek co przyjeżdża pocztą z wielkiego miasta do miasteczka, jestto pierwszy grenadier co robi wyłom w oszańcu tej zlepiny życia. Jaki ruch, jaki gwałt, jaki pogardliwy uśmiech wzbudza on na pierwszym wstępie w modniarce małego miasteczka!

Patrzno aspani! woła do swojej sąsiady (która jako sąsiada najdłużej trzyma się boku i gustu szanownej modniarki i najgłośniej szerzy jej pochwały, aby przytem dodać: ja mieszkam wpodle tej sławnej krawcowej, ona moja bardzo wielka przyjaciółka, wczoraj uszyła mi ten czypeczek) patrzno aspani! gdzie tu głowa? gdzie rozum? z tyłu zachodzi poza szyję, a na przodzie i warkocz ci wylizie; gdzież to do aspani czypca! to aż miło. Nuż mieszczkę pchać w kawałek stłuczonego zwierciadła, gdzie babina nie może wypatrzyć swego nosa, który ledwo co wyłazi z pomiędzy narurkowanych szlarek i szlareczek.

Ale zwolna okrzyk i wzięcie mody biorą górę w wyobrażeniu modniarki naszej, podcina czółka a spuszcza denka w rozmaity sposób, że aż biednym mieszczkom karki przerzyna tiul zkrochmalony; znoszą jednak cierpliwie, bo pani krawcowa (tytuł honorowy modniarki małego miasteczka) uręczyła, że to podług przywiezionej formy pocztą ze Lwowa tak być powinno. Nieszczęśliwa strategia! nieszczęśliwe słowo! którem swoje wzięcie usiłuje łatać biedna modniarka, ten Lwów co się miesza teraz do formy twego czypca, zacznie wkrótce nasyłać coraz rozmaitsze koncepta tiulowe, mólowe, które wywołają tysiąc intryg i chęci przodkowania. Zrazu każe ci robić coś podobnego z widzenia, opowiadań i rysunków; obiecujesz, przyrzekasz, zarzucają cię mnóstwem tiulów, blondyn, szlarek, wstążek, korunek, roboty huk! zdajesz się odżywać, przychodzić do wzięcia, pieniądz brzęczy! kupcowe ciągną cię za poły do swego kramu, każda wrzeszczy: dzień dobry! dobry wieczór! bryczka, gęsto i koczyk przed twoim dom-

kiem zatoczy. Ale stój! biedna kobieto! to bieg życia, sztuczny, przyspieszony, anormalny, to przesilenie, to zażycie piżma, dające ruch ale nie byt, zbytek na raz, ale nie mienie ciągłe, umiarkowane, pewne.

Nadchodzi kryzys, ów bal abo wieczór w małem miasteczku, na którym zetkną się roboty twoje z tualetami Lwowa; parno, duszno w pokoju zabawy jak przed burzą lub bitwą stanowczą. W istocie burza serc i bitwa ócz zawadzi o czypki i suknie, i pęknie życie twoje i łzy następują, i jedna chiba nożyczek i igły rozsypie twoje dostatki, nadzieje, przeszłość; przejdzie blada potrzeba w postaci szewca o zapłatę trzewika, i ty odtąd boso chodzić będziesz; w postaci dziecka z rozwartą gębą po jadło, a ty każesz mu czekać i czekać, w postaci kucharki z językiem przekleństw i wyrzutów, musisz cierpieć i milczeć. Bal ów był chmurą, wirem, starciem się żywiołów, a w ciebie uderzył grom, w cichą komnatkę twoją skoczyło wyklęcie: »już odtąd nic tej krawcowej nie dam do roboty«, ostre słowa, boś ty chciała ich; dobrze tak, pięknie.

Znałem jedno takie życie, uderzyło mnie boleśnie, zbliżył mnie przypadek, ciekawość wiodła poznać szczegóły, poznałem i zyskałem wiele: bo prócz łez kilka, poznanie bliższe z nędzą; a z nią się tak nam koniecznie trzeba znajomić!

Z powinnej grzeczności, która w naszej okolicy, prawdę mówiąc, jest obrzydliwie niegrzeczną i wymagającą, odbywałem raz odwidziny u sąsiada mego a raczej córek jego, które są czasem nie od rzeczy, a czasem nie do rzeczy, co wynika z wiatru jaki na te młode latorośle powieje, a u nas w Pokuciu bardzo panują wiatry przemyskie, tarnopolskie, lwowskie, nie licząc półwiatrów czyli odcieni z połączeń granicznych pochodzących.

Wonczas, byłato chwiła ciszy; żaden gawron z cudzych stron nie nadleciał jeszcze z modnie nauczonym zwyczajem, przeto kilku młodzieży których zastałem, siedziało dość sprężysto na stołkach, ino kiwali obcasami wysokiemi, (byłato zchodząca z placu maniera przeszłoroczna przywieziona z Przemyśla ponoś) co dodawało wielkiego taktu do ich zbyt taktowej rozmowy. Kilka poważnych mantyl siedziało cicho na sofie, czasem tylko zasłyszałeś: »byłam — aha! — i u mnie także« co wychodzi kubek w kubek na dobry dzień i dzień dobry; gdy młodsza córka gospodarza wchodząc poźniej od wszystkich do salonu uderzyła nas swoją bladością. Że salon był w stanie Turka drzymiącego przy fajce, ucieszył się więc każdy niewymownie z tego bladego wejścia, bo znalazło się nie wiele myśląc, o co zapytać, żałować, radzić, słowem odbyć gadanie, ową przykrą przedherbatową funkcię naszych wiejskich odwidzin.

Czekałem aż się potok wezbranych uczuć i słów pytających wyhuczy, by zbliżyć do niej i uciąć pogadankę. Niebawem siadła; ja modnym sposobem potrąciłem ze dwoch dżusów obok zalegających daremnie, bo nie komplementowych i nie epuzerów, i swobodnie dopadłem stołka.

— Dziś rano tak zdrowa, rumiana, obiegająca miasteczko K*** z uśmiechem i wesołością; a teraz blada, skarząca, cierpiąca pani?

— To mi właśnie K*** narobiła mój panie.

— A nie mówiłem?

— Mówił pan o błocie, wilgoci; ale mnie to nie szkodzi i nie zaszkodziło wcale, ale ten czypeczek.

— Który?

— Co go pan widzisz na mojej głowie; będziesz się śmiał z niego i ze mnie, ale ja panu wszystko wyznam, choć to nawet tajemnica jeszcze przed papą i siostrami.

— Śmiać się z czypeczka! kto? ja! a boże uchowaj; ja cobym go tak prędko rad na pani główce urzędownie widzieć, a potym z czypeczka co pani nosisz; nigdy! choćby był najzabawniejszy w świecie, a ten nawet i tej pretensii nie ma.

— Prawda że on bez pretensii, alež przyznaj pan najprzód, tylko szczerze, jak on mu się podoba?

— Bardzo, bardzo, ile na moje znawstwo możesz pani liczyć, ale což ten czypek lub mój sąd o nim może się wiązać z pani katarem, z jakąś tajemnicą, z miastem K*** z jej rankiem tak wesołym, z jej wieczorem tak smutnym?

— Pan taki niedomyślny! rzekła z uśmiechem pustoty.

— Daruj pani bom żonaty, a zaiste słyszała pani, że pewnym zwierzątkom czaszka grubieje gdy rożki rosną.

— Wolno panu żartować z cudzej biedy, bo sam takiej nie doznasz, ale wróćmy do czypeczka.

— Pani więc tak już na dobre zabierasz się do czypeczka?

— Skończmy żarty, słuchaj pan na dobre, bo jak dadzą herbatę nie dokończę powieści.

— Słucham już słucham, i wpatrzyłem ciekawie w tę twarz młodą, dziecinną, wpół nastrojoną do płaczu, bo czułem jak coś łzawego pokrapywało słówka mojej sąsiadki.

— Dwa dni temu, mówiła panna, zajechał do nas jakiś mały wózeczek o jednym koniu, a w nim kobieta nie młoda ze dwojgiem małych dzieci. Brudną orzucona salopką przyszła do domu biedna kobiecina

*

drząc od zimna, bo pomnisz jakito wiatr przykry dwa dni temu panował. Chciałam jej dać jaki darunek, skłoniła; »ja chcę roboty pani« odrzekła litośnie, ale to tak litośnie jakby głód do mnie gadał, jakby każde słowo co rzekła, kosztowało ją sił życia, i mimowolnie pojrzała za siebie na owe dwojgo dzieci, co się zatuliły w słomę na wózku. Ja umiem szyć, ciągnęła biedna niewiasta; jestem modniarką, mieszkam w K***, mam dzieci drobne a męża, męża mam tylko wtedy przy sobie gdy mi dobrze, a gdy źle, gdy roboty mi brakuje, bije, porzuca, idzie pić, pije na mój rachunek, a ty płać, pracuj na te długi, bo zabije, a mnie trzeba żyć dla dzieci. Nikt mi nie chce dać roboty, bo zaraz pyta: »a komużeś robiła?« a jak nie poszczycę się jakim dworem, to powiada żem licha, a ja nie umiem kłamać pani! Więc ja proszę roboty pani, ja nie zepsuję, choćby co starego przerobić, choćby tylko co przykroić, bój się boga pani! i całowała mnie w ręce i w nogi, a za każdą razą oglądała się na biedne swoje robaczki. Panie! to była matka.... I rozpłakała się opowiadająca tak mocno, że musiała rzucić chustkę od nosa do ócz i udawać mocne zakaszlenie.

— Pani kaszle? zapytał z boku jakiś dżus poważny.

Spojrzałem na niego jak wilk na kozła, by się nie mieszał do nas, obrócił się i splunął, to także moda, nawyczka po krótkiej fajce.

Milczałem chwilę, a lekko potem ścisnąwszy ją za rękę: rozumiem śliczna duszo i ten czypeczek rozumiem i te krzątanie w K***, i ten ból głowy, czekaj pani i ja coś zrobić mogę.

Dano herbatę. Panna J. wzięła się do przystawy, nalewań; znikało zwolna rozpłakanie się, mogła się już miarkować. Niebawem wdałem się w ogólną rozmowę pomiędzy poważne mantylki, które z córeczkami raczą czasem słuchać mnie dla tego że coś nowego ze Lwowa wiem, przywiozę, widzę albo mogę widzieć. Nastroiłem rzecz na mody, pochwaliłem mantyle: taką u pani Adamskiej widziałem, ta znowu musi być od pani Lundy; do tego nasmarowałem najzręczniej jak mogłem każdej jejmości bułeczkę do kawy (mantyle najwięcej kawę u nas piją) i w tem jakby znienacka krzyknąłem zdziwiony.

— Co to? wrzasnęła kompania herbatna.

— Czy może inspektor wpadł do gorzelni? zawołał gospodarz, któremu widać coś tam w porządku brakło.

— Czy nie mysz? krzyknęła jejmość, któraby się i drabanta zlęknąć nie powinna, bo się nie bała męża swojego.

— Mamo! czy nie pchła? ciszej zaszeptała córeczka, która gnieżdżąc wiecznie koło siebie pieski, widać doznawała gęsto tych nawidzin.

Nie! moje panie! odrzekłem, zawsze w dramatycznem zostając zdziwieniu; nie inspektor, nie mysz, nie pchła, ale czypeczek panny J. zrobił na mnie takie wrażenie. Zkąd pani go masz? kto go szył? gdzie? wszak wystaw sobie pani, jedną tylko formę sprowadziła hrabina B* z Paryża; com się nabiegał po wszystkich sklepach Lwowa, by dla mej żony podobny kazać zrobić, bo to prosty, gładki, ale taki modny, tak pełno ma smaku: bój się pani boga, kto to robił? wskaż mi pani gdzie?

— Tu, odpowiedziała panna J. drząc.

W K***? nie może być, to chyba przywidzeniem, somnabulizmem zrobiła ta kobieta; lecę zaraz jutro, już mię trzy pań o to prosiło. Jak się zwie modniarka? ulica?

— Modniarka Olszewska, ulica nie wiem, ale w małym domku w tylnej uliczce od zajezdnego Mendla.

O dzięki, dzięki ci pani! mam czegom szukał.

I w istocie miałem już czegom szukał, bo uważałem jak jedna mantyla zaraz węzeł na chustce zrobiła, a druga szepnęła do małej pelerynki: »pamiętaj w tyle Mendla!«

— Ale co ciocia? odrzekła pelerynka śmiejąc.

— Ale tak, chybaś nie słyszała, wtyle Mendla.

— Jeszcze! cha! cha! gdzieżby ona się tam zmieściła? wpółgłos odrzekła dowcipna pelerynka.

Ciocia w śmiech i w komunikacie drugiej mantylki. Trzęsły się tłuste podbródki, ten dowcip obiegł kółko zgromadzenia, młode buziaczki pokazywały ząbki, te co bez zębów sznurowały usta. Ja byłem zadowolony jak nikt więcej, bo wiedziałem że mantylka z pelerynką pleciuszki oboje i dla samego swego dowcipku roztrąbią i o modniarce; na domiar panna J. podając mi herbatę »dziękuję« rzekła, tem okiem co to nakazuje: klękać, żałować i oświadczyć się. Na szczęście byłem żonaty, więc tylko pocałowałem w rączkę.

W kilka dni zwidziłem K***; dopytuję modniarkę w sklepie Mendla głośno, hucznie, bo właśnie kilka miejskich dam robiło sprawunki. Gdzie? co? jaka? pyta kupcowa; tu jej nikt nie zna, a na coż państwu?

Tu dopiero wpadłem w ton krasomowski: herbatę sąsiada i przy niej rozmowę wyłożyłem na stół, z kilku osób zrobiłem kilkanaście, czypeczek wystawiłem jak cudo porywane przez nasze damy; w końcu udałem niecierpliwość znalezienia modniarki i wy-

biegłem na ulice zadyszany. Niebawem wracam z tryumfem bo z samą panią Olszewską: biedna kobiecina drzała wchodząc zemną do sklepu, widziałem w jej twarzy bladość, niepewność tego co ją spotka. Wyraz mój, był dla niej grzeczny, schlebiający, miły, poddający się pod jej gust, pod jej wolą, i to w obec tych samych pań, które wiedziałem że ciekawość zatrzyma w sklepie dłużej niż sprawunki. Ona, niewiedziała co z tem zrobić, żarty ci to, czy za prawdę. Kilka cwancygierów wtoczyło się do jej rąk, które może od roku zaledwie z miedziakami się widziały, kazano jej wybierać tiul, deseń, wstążkę, a wszystko podług jej gustu. Nieboga! wyraźnie traciła przytomność, ręce jej latały, jak w febrze, pomiędzy kółkami wstążek; a oko, oko wielkie, rozwarte, rzucało się na twarz moją, za każdym przerzutem ręki z wstążki na wstążkę, by nie obrazić gustu, nie zdradzić swej nicości.

Zupełnie taka, jaką sobie moja żona życzyła; rzekłem na wstążkę trzymaną przez Olszewskę.... teraz wybieraj pani drugą, mnie trzeba dwa, i to spiesznie, bo niezabawem damy z P* i z Z* będą u pani i pozamawiają roboty, a ja niechcę być ostatnim.

Jest w przełamywaniu się z nieszczęścia w pomyślność, chwila w człowieku tak silna, dusząca, że piorunem może zwalić życie, lecz wytrzymawszy ją nagle jakaś błogość przebiegnie nerwy, rozbłyśnie oko, nic się nieczuje szczęścia co nastąpiło, nic radości ino gęściej piersią robi, jakby człowiek pływał, lub zbył ciężaru. W mgnieniu ócz potym już się stoi w pomyślności swej jak bywalec, jakby nie zaznał nigdy innego stanu. Cud ten powtórzył się w mych oczach. Rzutem iskry odpadła niepewność i bojaźń modniarkę moją, i drugi wybór do czypka był cieniowany rozwagą, uporem niby, nawet ręka jej chciała wydać swą zgrabność, więc fałdowała tiul, udając formę kroju i leżenia, co podniosło panią Olszewskę o sto procent w oczach obecnych pań miejskich. Wychodząc ze sklepu jeszcze się zdradziło uczucie biedy, ucałowała mi rękę. Z obrębów stanu modniarki, wyrwało się serce matczyne kilkorga dzieci, i pobiegło do ręki mojej, bom widział, jak za chwilę bułeczek pare niosła biedaczka dziatkom do domu.

O! sprobójcie jak to dobrze pomagać innym, ja tego dnia byłem weselszy, zdrowszy, sam niewiem co mi było, ale coś tak uroczego, jakbym był na nowo.... gdzie? mniejsza z tem moi panowie!

Dokończenie nastąpi.

Pierścień Polikratesa.

(z Szyllera)

Na krużganku stał wysokim
I potoczył dumnem okiem
Po krainie wdłuż i wszerz:
Patrz tem rządzi moja wola
Do Egiptu rzecze króla
Żem szczęśliwy teraz, wierz.

Polubieńcem jesteś bogów,
Siłę równych tobie wrogów
Widzisz teraz u twych nóg;
Ale jeden żyje jeszcze,
Szczęsnym ciebie nie obwieszczę
Póki czuwa taki wróg.

Jeszcze król nie skończył mowy,
Poseł wbiega wpróg zamkowy,
Do tyrana mówi wręcz:
Na część bogów niech zapłonie
Żar ofiarny, twoje skronie
Biesiadniczym laurem wieńcz!

Wróg naszemi już dziryty
Skłuty i na głowę zbity;
Wódz z tą wieścią posłał mnie;
I na misie, na miedzianej,
Łeb pokaże dobrze znany,
Krew już stęgła na nim schnie.

Król ze wstrętem się odwrócił,
Smutny, te przestroge rzucił:
Nie wierz szczęściu! w falach mórz
Jeszcze twoja pływa flota,
Z bałwanami się szamota;
Żaliż się nie lękasz burz?

Gdy te słowa mówił właśnie,
Od przystani okrzyk wrzaśnie,
Radośny witania krzyk;
Flota, łupy zbogacona,
Niesie w portowe ramiona
Długi las masztowych pik,

Podziw króla wciąż się wzmaga:
Dziś fortuna ci pomaga,
Lecz niestałość, to jej błąd.
Kretów naród to waleczny
A zły sąsiad, niebespieczny,
Już się zbliża pod twój ląd.

Ledwie skończył; już postrzega
Pędzą tłumy; a u brzega
Wieje już zwycięztwa znak!
Kretów rozpędziła burza;
Narod radość swą wynurza
Wolny od wojennych plag.

Gościa chwyta przerażenie:
Dziś szczęśliwym ciebie mienię,
Jednak los mnie trwoży twój,
Bogów lękam się zazdrości,
Bo u człeka nie zagości
Nigdy szczęścia cały rój.

I ja szczęsne życie wiodłem,
Pod przyjaźnem niebios godłem
Wielem dzieł dokonać mógł;
Alem miał dziedzica w synie,
Z woli bogów, ten mi ginie:
Nim spłaciłem szczęściu dług.

Złe od siebie byś odwrócił,
Proś Jowisza aby rzucił
Na twe szczęście smutku cień.
Biada, komu z pełnej dłoni
Bóstwo ciągłe dary roni,
Zły go w końcu czeka dzień.

Gdy bóg prożby nie wysłucha,
Słuchaj rady twego drucha:
Sam to pasmo szczęścia skróć;
Wybierz z skarbów twoich wiela
Czem się serce rozwesela,
Weź to i do morza rzuć.

Na co tamten, trwogą zdjęty,
Nad me skarby, diamenty
Droższy jeden pierścień mam.
Więc Erynnom w dan go złożę
Szczęście nim okupię może,
I swój pierścień topi sam.

Lecz niedługo, o poranku
Rybak stawa w xięcia ganku,
A radośna jego twarz:
Panie! jako długo żyłem
Takiej ryby nie złowiłem
Dar rybaka przyjąć raż.

Kuchmistrz rybę gdy rozpłata,
Przestraszony znów przylata
I zawoła! Panie patrz!
Drogi pierścień z twojej ręki
Wydobyłem z rybiej szczęki,
Pierścień swój odebrać racz.

Gość odwraca się z przestrachem:
Nie! pod jednym z tobą dachem,
Ni w przyjaźni niechcę żyć.
Twojej zguby pragną bogi
Śmierć tu wniosą w twoje progi
Ja twym gościem niechcę być.

A. Gorczyński.

WYJĄTEK Z DRAMATU

STEFAN DOBRZECKI

przez

Fr. Wiesiołowskiego.

Dokończenie.

SCENA V. *Alfons sam.*

Tylko porzuć te jeremiady o złym przykładzie, o sumieniu! mądra rada! najmądrzejsza jaką dać mi mogłeś zabójco sumienia mego. W samej rzeczy precz sumienie! precz! bo jakżebym z tobą mógł wśliznąć się pod strzechę spokojną starca, by podkopać mu szczęście jego i jedynaka, wyrwawszy mu z objęcia jak myśliwiec, młodego sokoła, uczynić go narzędziem własnego interesu. Głupi młodzieńcze! ty powitasz we mnie przyjaciela, wybawcę z pod ojcowskiego jarzma; wypełnisz kielich zatrutych rad moich aż do dna, i upoisz się niemi i cieszyć się będziesz pijany. (*po chwili namysłu*) Ale tak! na tobie niech się pomszczę za własne upojenie, i ja byłem niegdyś jak ty niewinny, i przedemną leżała karta życia nie zapisana, dzisiaj gdybyś ją przeczytał, gdybyś.... (*zamyśla się*) ha! już się stało, nie ma rady, brnij brnij dalej Alfonsie!

AKTU II. — SCENA I.

Mieszkanie wiejskie Dobrzeckiego.

DOBRZECKI *sam liczy pieniądze.*

Raz, dwa, trzy, to trzysta; tu w tej paczce pięćdziesiąt, więc trzysta pięćdziesiąt (*słychać pukanie do drzwi*). Czy bóg skarał? nie dadzą chwili spoczynku. W tamtym worku dwieście, więc pięćset pięćdziesiąt, dobrze! (*znowu pukanie. Do siebie*) pukaj pukaj, nie ma mnie w domu.

PANI DOBRZECKA *za drzwiami.*

Jegomość, to ja!

Dobrzecki zbiera paczki z dukatami, odsuwa obraz wiszący na ścianie i chowa je w umyślną do tego kryjówkę, nic się nie odzywając; schowawszy otwiera drzwi udając zaspanego.

DOBRZECKI.

Dzień dobry ci Basiu! cóż tam nowego powiesz mi jejmość? (*ziewając*) przepraszam, tak mocno zasnąłem.

DOBRZECKA.

I cóżbym nowego powiedziała! oto właśnie dopiero wyszedł odemnie Stefan, płakało chłopczysko, aż mi się serce krajało.

DOBRZECKI.

Płakał! a to czego?

DOBRZECKA.

A czyż to jegomość nie wiesz czego? pono nie pierwszy raz mówię już o tem, że ten chłopiec dostanie mankolii jak go tu dłużej trzymać będziemy. To żywe śrebro! ma się do świata, do ludzi, staćby go było i pobrykać trochę; a tu siedź i siedź w onym domu.

DOBRZECKI.

Daj mi tam jejmość pokój z tą mankoliją! co to za czasy teraz! chłopiec jak tylko podrośnie, jeszcze mu się wąs nie wysypie, jużby chciał być panem swojej woli; ja gdy byłem w tym wieku dobrze jeszcze brałem na kobiercu wyćwikę; teraz zaraz oddawaj mu wieś, wszystko co masz, żeby miał czem szumieć, a potym przyszedłszy do rozumu, bieda! długi, i obraza boska. Co mu tu brakuje? pensyjkę płacę, pozwalam trzymać parę koni i wierzchowca, bardzo dosyć tymczasem.

DOBRZECKA.

Tak! jegomości się zdaje że dosyć, a chłopiec ledwo się niezagubi od zmartwienia, widzi u innych jak to w tym wieku przecie już coś znaczą a on nieborak nie ma o czem.

DOBRZECKI.

I cóż mu dam? czyż mu wieś wypuszczę żeby ją stracił? czyż onto potrafi już się rządzić; być obywatelem; myślisz jejmość iż to tak łatwo? oj sztukato jest nie mała! niedosyć być zapisanym w tabuli i posiadać wieś, trzeba pierwej wiedzieć co się należy komu, co sobie samemu, a tego uczy doświadczenie; lepiejby się działo, lepiej gdybyśmy niemieli tylu niedojrzałych obywateli, aleto teraz byle ze szkół, już obywatel, to też kończy się na nazwisku; o, trudnych, a pięknych obowiązkach, przywiązanych do tego stanu, ani komu w głowie postanie. — Pfe! pfe jejmość! daj mi acani pokój! nie wspominaj mi więcej o tem. — No i czegoż jejmość płaczesz? cóż znowu? lepiej więc będzie jak dam Stefciowi pieniędzy i w świat go wypuszczę, nie będzieszże jejmości tęskno za nim?

DOBRZECKA.

Pewnie że byłoby mi tęskno, aleć wolę już sama cierpieć jak patrzeć na tę jego cierpienia. (*płacze*).

DOBRZECKI.

Kiedyto z temi kobietami nie poradzi, mów, gadaj, nic nie pomoże, płaczu, szlochów i koniec. Cierpienia! cierpienia! — myślałby kto że ja jestem tyranem i nie kocham mego rodzonego dziecka. Boże kochany, pfe! pfe! wstydź się jejmość, prawdziwie nie wiesz co czynisz.

DOBRZECKA.

Nie gniewajcie się mężu! już więcej nic nie powiem, cóż ja temu krzywa, że żalu w sobie stłumić nie mogę, a do tego Czesław ciągle mi na myśli.

DOBRZECKI.

Cóż za Czesław?

DOBRZECKA.

Czyżeś jegomość zapomniał Czesława Dorobskiego co sobie życie odebrał, że ojciec także nie chciał go wypuścić z domu.

DOBRZECKI.

Co jejmość znowu mówisz co? niema w tym sensu pfe! (*po chwili namysłu*) Alboto dla tego Czesław sobie życie odebrał? to bajka! gdzieby tam zaś dla tego.

DOBRZECKA.

Ale niezawodnie, wszak list znaleźli przy nim.

DOBRZECKI *z udaną pewnością.*

Bajka! bajka! ja tam temu nie wierzę; (*zamyśla się*) no i cóżbo robić? co się temu chłopcu zachciewa?

DOBRZECKA.

Ja już nic nie mówię, niechcę jegomości gniewać więcej.

DOBRZECKI.

Hm, hm, hm, tak! dobrze jejmość robisz, zapewne żebym się gniewał. (*po chwili*) Gdzie to, przecie pamiętam tego Czesława, on pono się zakochał i dla tego się zastrzelił, to było kawał wariata, a choćby i tak z resztą; co mi tam do Czesława! co Stefan to nie Czesław he?

DOBRZECKA.

Ja! nic już nie mówię.

SCENA III.

CIŻ, SŁUŻĄCY.

Jakiś pan przejeżdżający prosi o pożyczenie bryczki do najbliższej wsi, bo oś mu się złamała.

DOBRZECKI.

Zawołać karbowego niechaj wyda bryczkę z gumna; cożto za pan, jak wygląda?

SŁUŻĄCY.

Młody, dosyć przystojny, wspomniał że zna pana Stefana, niechciał wstąpić bo nie ubrany.

DOBRZECKI.

A cóż za ceremoniant jakiś! podaj mi czapkę, laskę, pójdę sam po niego.

SCENA IV. *Dobrzecka sama.*

No! a że zawsze przeszkoda! już już zaczynał dumać i mruczeć. Czesław kaducznie mu w głowę

zajechał; poczciwe mężysko, gdyby nie ten upor nie byłoby lepszego człowieka! ale też nie darmo trzydzieście lat żyjemy z sobą, nie jedna beczka soli zjadła się razem.

SCENA V.

Dobrzecki, Dobrzecka. Alfons ubrany w czamarze i t. d.

Wiadomości literackie.

W drukarni J. P. Sollingera w Wiedniu skończył się druk dzieła pod napisem: Album na korzyść pogorzelców, wydane przez Józefa Dunina Borkowskiego, i za dni kilkanaście spodziewamy się je mieć we wszystkich lwowskich xięgarniach. Zawiera ono następujące artykuły. *Prozą:* Rzeszów i jego okolice przez A. Bielowskiego. Bale na wsi, powieść Józefa Dzierzkowskiego. Leśniczy, tegoż. Jutro, powieść tegoż. Gdyby, przez Leszka Dunina Borkowskiego. Posłuszni tegoż. Zamek odrzykoński przez Żegotę Paulego. Osioł, rys historyczno-psychologiczny przez Walentego Chłędowskiego. Pamiętnik Zenona, przez Adama Gorczyńskiego. Słowo o xięstwach oświecimskiem i zatorskiem, przez A. Tomkowicza. Opisy znakomitszych miejsc w obwodzie tarnopolskim: (Tarnopol, Mikulińce, Trembowla, Janów, Zbaraż, Grzymałów, Skałat, Wiśniowczyk, Strusów, Baworów, Mogielnica, Zarubińce) przez Stanisława Przyłęckiego. *Poezie:* Sen xieni dobroczynności, przez Adama Gorczyńskiego. Dwoje piastunek, przez Dominika Magnuszewskiego. Dramat w naturze, we trzech oddziałach, przez tegoż. Do siόstr moich, przez tegoż. Kobieta, przez Józefa Dunina Borkowskiego. Prożba przez tegoż. Gdy moje oko światłem nie błyśnie, przez tegoż. Złamanie wiary, przez Alexandra Fredrę. Sen, przez Leszka Dunina Borkowskiego. Sonety tegoż. Piast, legenda Jana Kantego Podoleckiego. Pomnik w Hodowie, tegoż. Jadwiga obrazek tegoż. Krystyn Szykowski, tegoż. Tęsknota, Talii Dzieduszyckiej. Szkoła życia, przez Walentego Chłędowskiego. Dzieło to kończy dodatek, zawierający popiersie wydawcy, ryte na stali. Sprawozdanie, przez Leszka Dunina Borkowskiego. Żywot wydawcy, skreślony przez A. Bielowskiego, i wiersz Leszka Dunina Borkowskiego pod napisem: jego cieniom. Wreszcie lista prenumeratorów.

Całe to dzieło obejmuje dwadzieścia i trzy arkusze ścisłego druku na pięknym papierze w ósemce większej. Każdemu z prenumeratorów odesłane będzie tam gdzie na nie zaliczył.

Od czasu niniejszego ogłoszenia prenumerata ustaje, a pozostałe egzemplarze przedawać się będą po cztery ryńskie monetą.

UWIADOMIENIE.

W wykazie pism periodycznych, pozwolonych w państwie rossyjskiem na rok nadchodzący 1844, który urzędownie drukiem ogłoszono, znajduje się obok licznych dzienników francuskich i niemieckich dziennik mód paryskich wydawany przez Tomasza Kulczyckiego, a cena jego oznaczona rocznie wynosi rubli śrebrnych dziesięć w Petersburgu. Dla tych którzy na prowincii ten dziennik odbierają doliczy się do ceny powyżej oznaczonej za przesyłkę pocztowę rocznie rubli śrebrnych dwa. Odtąd każden życzący sobie ten dziennik trzymać, raczy się przez najbliższy kantor pocztowy z zaliczeniem prenumeraty udać do głównego pocztamtu expedycii gazet w Petersburgu, gdzie wszystkie pisma periodyczne prenumerują się, a to niepoźniej jak w pierwszych dniach grudnia 1843 roku, a to dla tego, ażeby pojedyncze numera wcześnie swych właścicielów dochodziły.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. CZCIONKAMI PIOTRA PILLERA.